

Paulina & Irek Przygodzcy

Iluminator

Z „*Science Fiction*” nr 21 – grudzień 2002

Bładoróżowy, holograficzny świt zabłysł pod kopułami ciągu wielkich miast. Różowo-szary świt nad Megalopolis. Maszyny czyszczące ruszyły na ulicę, aby usunąć pozostałości minionej nocy: zużyte prezerwatywy, niedopałki papierosów, gumy do żucia, puszki, stężone mocnym zapachem alkoholu butelki i inne śmiecie zaświadczające, że tej nocy zabawa była przednia. Hologram świtu jaśniał dokładnie co dziesięć minut, aż światło tłoczone pod kopułę systemem Ashera do złudzenia zaczęło przypominać naturalne światło dzienne. Dniało, lecz Samuel Sheldon nie kładł się spać, prawdę mówiąc, przez całą noc nie zmrużył oka. Opracowywał analizy prób z bozonami z ostatniego półrocza. Była to mało twórcza praca, do której chciał się zabrać jak najpóźniej, dlatego zmarnował dwie ostatnie noce. Raport miał leżeć rano, a zatem za parę godzin, na biurku szefa. Zgrzyty i chrzęsty maszyn czyszczących szczęśliwie nie docierały do jego mieszkania, ponieważ miał specjalnie wyciszone ściany; jak również dlatego, że mieszkał na czterdziestym piętrze. Hałas nie przeszkadzał mu więc w pracy. Przeszkadzało mu coś zupełnie innego: myśl o swojej karierze, która stanęła w martwym punkcie. Znakiem tego było to, że szef zlecił mu pracę, którą bez problemu mógł wykonać za niego komputer. Była to przecież tylko cholerna analiza porównawcza. Nawet nie kazano mu wyciągać żadnych wniosków. Przerazające! Najgorsze, że patrząc na to zestawienie, Samuel nic nie potrafił powiedzieć o budowie wszechświata. Jedyne on - Big Boss - wielki Frederik Ferrel miał prawo tworzyć teorie. Samuel wprawdzie skończył studia z wyróżnieniem, a sam fakt pracy w zespole Ferrela to już sukces, jednak na tych osiągnięciach ciążyło piętno - Sheldon nie był wybitny. To przynębiało go najbardziej: ów brak wyraźnie wznoszącej się linii kariery - refleksu boskości - momentu błysku. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co to oznacza. Jego dane stanowiły li tylko nieustanną strawę dla procesów myślowych SI decydującej o losie naukowców. Mniej zdolnych przesuwano na niższe stanowiska. Przeciężni natomiast upadali w pracowniczy niebyt, czyli tam, gdzie znajdowała się większość społeczeństwa. Pula etatów naukowych była ograniczona zgodnie z zasadą, że ludzie pracują jedynie na tych stanowiskach, których nie mogą zajmować inteligentne maszyny. I nie był to żaden dyktat maszyn, lecz prosty rachunek ekonomiczny. Prawo rynku. Ani więcej, ani mniej. „Najtańszy pracownik jest zawsze droższy od najdroższej maszyny” - to maksyma wspólnot gospodarczych, zatrudniających najemnych pracowników. Instytut Fizyki Molekularnej był wprawdzie, strukturą ponadnarodową, ale rządziły nim te same zasady, jakimi kierowały się wspólnoty ekonomiczne: zarówno miejskie, jak i wiejskie. Identyczne z tymi, jakie przyświecały miastom podczas zatrudniania prywatnej policji, lekarzy lub nauczycieli. Odkąd państwo wycofało się do niewidzialnego minimum - anarchicznego wprost sposobu posiadania - sprywatyzowano kolej, pogotowie ratunkowe, elektrownie i inne instytucje będące niegdyś niewidzialnym dominium państwa. Struktury przejrzystych hierarchii i zależności zostały rozmyte teraz posiadaniem ich przez prywatne wspólnoty obywatelskie. Te i inne myśli o niedalekiej przyszłości oraz o działaniu, a raczej wycofywaniu się z działania, państwa napełniały Sheldona wściekłością i goryczą. I po co te lata nauki - myślał - wyrzeczeń, cierpień, nadziei... Wszystko na marne... I tak w rezultacie zostaną wypluty na wysypisko odpadów przez jakąś bezduszną maszynę, przemielony na papkę wraz z danymi innych niezdolnych do pracy...

Raport był gotowy. Samuel wziął prysznic. Wypił kolejną tego ranka kawę i udał się do pracy. Wszedł do tunelu parkowego, mieszczącego się tam, gdzie niegdyś, w zamierzonych czasach architektury otwartej na przestrzeń miejską, były balkony. Teraz, miast tej namiastki otwartości, znajdowało się miejsce, w którym stał poduszkowiec. Stał, oczywiście, o ile ktoś mógł pozwolić sobie na wynajęcie tego pożytecznego urządzenia. Prawdziwi bogacze mieli własne poduszkowce. Samuel nie należał do grupy tych szczęśliwców i poruszał się wynajętym pojazdem: małym, ekonomicznym, bezszelestnym, napędzanym baterią wodorową. Prawdziwe cacko - niestety tylko użyzione. Latał w powietrzu. Nie dlatego, że był to przejaw charakterystycznej dla nielicznych posiadaczy ekstrawagancji. Po prostu, istniał przepis, że ulica należy wyłącznie do pieszych. Stało się tak od czasu, gdy miasta pokryto kopułami i zamknięto przed obcymi. Nikt, kto nie został przebadany i zrewidowany, nie mógł dostać się do wewnątrz. Te i inne środki bezpieczeństwa podjęto w związku z nasilającymi się aktami terroru - użyciem na wielką skalę broni

biologicznej i chemicznej. Nowy trend mody - Samuel sarkastycznie zaśmiał się w duchu - ceniony zwłaszcza przez fundamentalistów islamskich: zarażanie bezbronnych ludzi jakąś straszną, nieuleczalną chorobą. Nierzadko wyhodowaną specjalnie w tym celu. Po dokonaniu autoinfekcji, terroryści ruszali w miasto i „częstowali” choróbskiem kogo popadnie. Stąd przyjął się zwyczaj odbywania kwarantanny przez przybywających do polis, chronionych kopułami przed atakiem z nieba. Pachniało to trochę średniowieczem: kontrole u bram miasta, kwarantanny, egzorcyzmy, żebracy, oazy izolacji i badania DNA w celu ustalenia tożsamości. Istne szaleństwo - współczesna dzuma terrorystycznego karnawału. Kopuły miały jeszcze jedno przeznaczenie: znajdowały się w nich sensory analizujące skład powietrza i urządzenia alarmujące. W przypadku ewentualnego skażenia akcja ratunkowa przebiegała znacznie szybciej, niż w wypadku braku tych urządzeń.

W mieście było już całkiem widno. Samuel Sheldon wznosił się w powietrze. Laboratoria instytutu znajdowały się na dziesiątym piętrze gmachu, który najpiękniej w mieście załamywał światło na swoich futurystycznych kształtach - wyglądał jak wykuty z olbrzymiej bryły lodu. Było to zasługą zainstalowanych na budynku zespołów tarcz, odbijających światło parasłoneczne, rzeczywisty zaś wygląd gmachu pozostawał tajemnicą. Nawet w nocy otrzymywano podobny efekt - motyw lodowego giganta - dzięki finezyjnej grze światła. Ta iluminacja była powodem ustawicznych protestów ekologów, którzy tak bezsensowne marnotrawstwo energii uważali za karygodne. Tak czy inaczej gmach był piękny, a Samuel w nim pracował. Wjechał zewnętrzną windą na dziesiąte piętro. Już w korytarzu spotkał Ferrela, jak zwykle wystrojonego w garnitur i wciśniętego w swój superwózek. Geniusz cierpiał na BTSN, który lata temu odebrał mu możliwość samodzielnego poruszania się. Choroba ciągle postępowała. Coraz wyraźniejszy cień śmierci kładł się na Ferrelu.

- Cześć, Frederiku - powiedział z największym szacunkiem Samuel.

Bo też nie był to jakiś tam szef, jakiś tam fizyk. Ferrel był absolutną gwiazdą wśród fizyków. Supernową. Einsteinem współczesności. Taki właśnie był wielki Frederik Ferrel.

- Cześć, Samuelu - odpowiedział mu wózek. Geniusz nie mógł już sam mówić.

Wózkiem kierował za pomocą myśli - wszczep był połączony z układem kierowniczym. Informatyczny ciąg: myśli Ferrela były softem, wózek hardwarem. Jego wola stanowiła oprogramowanie komputera; maszyny, którą stanowili człowiek i wózek. Tak skonstruowany człowiek-maszyna, wchodził do cyberprzestrzeni i przebywał w niej bardzo długo. Nie bał się, bo nie miał już po prostu ciała, którym mógłby zaryzykować.

- Mam raport - oznajmił Samuel. Za każdym razem ukrywał jak najgłębiej niechęć do przełożonego, żal i gniew z powodu powierzonego mu upokarzającego - tak uważał - zajęcia.

- Omówimy go na zebraniu - poinformował go Ferrel zimnym głosem wózka. Po czym oddalił się. Zwykle nie lubił przebywać zbyt długo z ludźmi.

Zespół był podniecony. Wszyscy od miesięcy gadali o wielkim odkryciu, zdając sobie jedynie częściowo sprawę z jego wagi. Częstokroć, gdyż praca, jaką wykonywali, była kolejnymi elementami puzzli, których układ całości nadzorował Ferrel. Jedynie on miał dostęp do ogólnych danych. To on był architektem: składał w jedno wyniki badań zespołu, subtelnie rekonstruował je ze sobą. Tworzył wygląd i znaczenie teorii. Tylko on znał fakty, o których nie wiedziała reszta. To on w końcu spodziewał się dostać Nobla za swoje odkrycie. Wszyscy wiedzieli jedynie tyle, że chodzi o materię. Po tym odkryciu obraz świata ulegnie zmianie. Tak jak po przewrocie kopernikańskim. Ale tylko Ferrel miał wizję. Tylko on naprawdę rozumiał to, co dla innych wydawało się galimatiasem iluzji. Wszak to on - wieki temu - wysunął tę teorię: jeszcze nikt o niej nie śnił. Ba, gdy postulował jej główne teorematy wydawała się nie mniej niewiarygodna od opowieści o elfach, krasnoludach czy małych, zielonych Marsjanach.

Tego dnia Samuel, przesiadując w laboratorium, rozmawiając z członkami zespołu i wykonując polecenia szefa zrozumiał coś: nienawidzi Ferrela. Nienawidzi jego geniuszu, jego pewności siebie, jego pieniędzy, jego konstruktów, jego superwózka.

- Pokraczny, popieprzony cyborg - szepnął do siebie, obserwując na monitorze symulację zderzeń cząstek w akceleratorze. Maleństw zwanych bozonami Ferrela.

- Co słychać? - usłyszał tuż nad sobą miły, dźwięczny kobiecy głos. Poczł zapach migdałów. Odwrócił się i zobaczył ją: stała tuż za nim, uśmiechając się. Ten zapach działał na niego zawsze: ciągle z tą samą siłą, nieustannie. Tak jak pierwszej nocy.

- Cześć, Elizabeth - odpowiedział. Elizabeth Ferrel była od niego starsza o jakieś pięć lat. Tak piękna, jak genialny był jej mąż. Burza rudych włosów, błysk kocich oczu, idealna symetria ruchów. A linia jej kariery wznosiła się nieustannie do góry. Samuel wstał i objął ją. Człł ciepło jej ciała. Napięcie mięśni pod ubraniem.

- Przyjadę dzisiaj do ciebie - wyszeptwała.

- Nie, dzisiaj zostanę dłużej w pracy, jutro - podjął Sam. - Bądź u mnie jutro. Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Przyjdę tutaj, jak wszyscy pójdą do domu, jak tylko odwiozę Frederika. - Przechyliła zalotnie głowę. Nagle coś sobie przypomniała. Zmarszczyła brwi.

- Cholera, przecież on dzisiaj przeprowadza ten swój eksperyment.

- Tak? Nic o tym nie wiedziałem. - Bez skutku starał się ukryć wyraz zaskoczenia na twarzy. Więc już do tego doszło - pomyślał gorzko - nie ufają mi. Cyborg każe mi robić głupie analizy, a... - dokończył głośno: - gdy dzieje się coś naprawdę ważnego, Frederik nie mówi o tym!

- Nie miałeś wiedzieć, wie jeszcze tylko Stephen - wyjaśniła Elizabeth.

- Ach tak!? - parsknął. - A reszta zespołu?

- Nic nie wiemy.

- Oświeć mnie, o co chodzi?

- Nie mogę, Frederik się wścieknie.

- Ja mu nic nie powiem.

Kobieta pokręciła przecząco głową, uśmiechając się tajemniczo.

- Proszę cię, Liz, nie wygłupiaj się, powiedz mi, nic nikomu nie powtórzę.

- Będzie weryfikował teorię kondensantów - wycodziła w końcu Liz.

- No to pewnie mu się uda - podsumował z rezygnacją Sam.

- Myślę, że tak. W końcu to on odkrył bozon, którego szukano przez kilkadziesiąt lat. Nie muszę ci przecież mówić, jak było to ważne. Dzięki temu bozonowi - jego bozonowi, inne cząstki nabierają masy. Wiesz, że bez tego świat byłby zupełnie inny... Bez jego odkrycia Model Standardowy nadawałby się na makulaturę - powiedziała z zapałem.

- Więc dzisiaj przez całą noc będziecie rozpędzać protony i antyprotony do świetlnych prędkości, żeby złowić kondensanty... Hmm... całą noc pod ziemią z twoim cyborgiem - zadrwił Samuel w odpowiedzi na jej zachwyty. I natychmiast się zreflektował. Zrozumiał, że zabrzmiało to za ostro, że zbyt ujawnił swój gniew.

- Przestań, nie lubię, jak tak o nim mówisz.

- Przepraszam. Powiedz mi, czy ty naprawdę wierzysz, że kondensanty istnieją?

- Wierzę... Wierzę, że istnieją kondensanty i półkondensanty, i ćwierćkondensanty, i jedna setna, jedna tysięczna, jedna milionowa kondensanty. Aż w końcu materia przechodzi w stan czystej energii. Staje się wiązką nie skondensowaną. Wiesz dobrze, że kondensanty są czymś pośrednim między materią, a energią... Chodzi nam o uchwycenie momentu przejścia jednego... nawet brak nam jeszcze terminu - zaśmiała się - powiedzmy: skoku jednego bytu w drugi.

- Istnieje hipoteza, że wzbudzenie tak wielkiej energii, może spowodować powstanie gołej osobliwości.

- To bajka, wzięwszy pod uwagę hipotezę kosmicznego cenzora. Za to dowiemy się o czymś niesłychanie istotnym: w jakie kody układają się kondensanty, gdy tworzą cząstki elementarne. W końcu są najmniejszymi cegiełkami materii... Może uda nam dowiedzieć się, jaka była pierwotna materia naszego wszechświata? Może też poznamy odpowiedź na pytanie, czy możliwe są inne warianty?

- To znaczy?

- Czy mogą istnieć rodzaje materii, zupełnie odmienne od tej, jaką znamy. A jeśli tak, to czy istnieją wszechświaty różne od naszego.

- Zapowiada się fascynująca noc... Szkoda tylko, że spędzisz ją pod ziemią, a nie, na przykład, ze mną.

- Odbijemy to sobie. Zresztą postaram się wyrwać na chwilkę, OK?

Wrócił pamięcią do rozmowy, którą przeprowadził z Ferrelem rok temu. To właśnie od niego usłyszał o niebezpieczeństwie wzbudzenia osobliwości podczas eksperymentu. Rok temu Ferrel nie był gotowy do jego przeprowadzenia. Dzisiaj musi dysponować danymi, które pozwalają mu na ryzyko - pomyślał Samuel. - Zastanawia mnie, czy Elizabeth ma rację i czy zgodnie z hipotezą kosmicznego cenzora „natura brzydzi się gołymi osobliwościami”.

Czy rzeczywiście jest tak, iż osobliwości ukrywają się wyłącznie w czarnych dziurach. Przecież wielki wybuch, o ile było takie zdarzenie w dziejach naszego, małego piekiełka, był w końcu również osobliwością. Cząstki wypadały z niego, nie wpadały zaś do wewnątrz... Sugerowałyby to, że czasopodobne krzywe mogą zarówno wchodzić do osobliwości, jak równie dobrze z niej wychodzić. Do cholery! Z czarnych dziur nic nie wychodzi. Nawet urzędnik podatkowy zasranych wspólnot! Wprawdzie Ferrel podważa teorię wielkiego wybuchu, twierdząc, że materia została „wdmuchana” do naszego wszechświata właśnie przez osobliwość z jakiegoś innego uniwersum. To z kolei przypomina mi - Sheldon

zdobył się na uśmiech - zarzuconą teorię pączkowania wszechświatów. Takie wszechświaty miałyby tworzyć, według Ferrela, grona lub kolonie. Wiry życia hehehe... Każdy z nich rozszerzałby się podobnie jak nasz... A od czasu do czasu materia, na przykład gwiazdy, zapadałaby się, tworząc czarną dziurę z osobliwością w środku. W ten sposób rodziłby się nowy wszechświat i nowe problemy z liniami karier - westchnął gorzko do siebie - z materii wdmuchanej poprzez osobliwość. Ale jeśli tej informatycznej i zmutowanej geniuszem pokrace uda się udowodnić teorię kondensantów, ma Nobla jak nic...

- Kurwa mać! - zaklął.

Położył nogi na biurku obok monitora, a ręce założył za głowę. Siedział tak, gapiąc się w ścianę zatopiony w myślach. Rozwazał możliwość opuszczenia Ziemi na stałe. W koloniach potrzebowali specjalistów, a tutaj szansę zrobienia kariery są śmiesznie małe. Co prawda warunki pracy na orbicie i w koloniach były zabójcze, ale płacili nieźle. Na co ja jeszcze czekam? Na co liczę? Elizabeth? Ona nigdy nie zostawi cyborga. Zdjął nogi ze stołu. Chciał wejść do sieci i zasięgnąć informacji o pracy w koloniach.

Nagle usłyszał huk i brzęk tłuczonego szkła. Odwrócił się gwałtownie. Ktoś... coś wybiło szybę. Wiedział, że to niemożliwe. Laboratorium znajdowało się na dziesiątym piętrze. Jednak Sheldon musiał uwierzyć świadectwu własnych zmysłów. Poczł mikroukłucia na całej powierzchni skóry. Przez chwilę miał wrażenie, że gmach zadrżał, a on wraz z nim. Jednak nie był pewien, czy to nie złudzenie: jeśli nastąpiło trzęsienie ziemi, to naprawdę minimalne. A jednak podświadomie wiedział, że coś się zmieniło, że nastąpiło przesunięcie w samym jądrze rzeczywistości. Nieznaczone tąpnięcie tkanki i struktur świata. Rozejrzył się po laboratorium: wszystko wydawało się identyczne jak przed wstrząsem. Jednak jakby jakieś inne. Zmęczenie - pomyślał - gniew i żal... więc chyba coś sobie ubzdurałem...

Podszedł do okna. Szkło jak martwa, błyszcząca refleksami skrzydeł ważka, leżało na podłodze. W szybie straszyla potężna dziura. Chrząst. Zauważył niewielki przedmiot, na który nadepnął. Metalowa kapsuła z powodzeniem mieszcząca się w dłoni dorosłego mężczyzny. Wziął ją do ręki. Była nieproporcjonalnie ciężka w stosunku do swojej objętości. Z trudem doniósł ją do biurka i położył na nim. Miał wrażenie, jakby przeniósł dziesięciokilowy blok stali. Tymczasem był to tylko niewielki przedmiot. Sheldon zrozumiał, że znane mu prawa fizyki nie stosują się do tego obiektu. Zeskanował to coś: wydawało się być w środku puste. Licznik Geigera pokazał niewielkie promieniowanie. Trzeba będzie dać próbkę do analizy... Ciekawe, co to za metal - pomyślał - o ile to jest metal. Kapsuła wydawała się fosforyzować. Pulsowała czasowo; z przerwami... Komputer dokonywał szczegółowej analizy obiektu: zanotował wiązkę kwantów świetlnego promieniowania emitowaną w pięciominutowych odstępach. Fascynująca rzecz... - dumiał Samuel - ale... Co to do diabła jest i skąd się tu wzięło?

- Muszę napić się kawy - zamruczał do siebie, wstając zza biurka.

Nie zdążył jednak zrobić nawet kroku, a już przed nim stanął plastikowy kubek z parującą ciecżą. Powąchał to. Bez wątpienia kawa.

- O, cholera! - powiedział, pocierając nerwowo policzek.

* * *

Trzykrotny sygnał telefoniczny wyrwał profesora Sheldona ze snu. Zapalił lampkę na nocnym stoliku. Wcisnął przycisk videofonu, redukując wizję, gdyż nie życzył sobie, żeby ktokolwiek oglądał go w tym stanie.

- Sheldon. Słucham - powiedział ostro, dziwiąc się, że ktoś ma tupet dzwonić do niego o tej porze.

- Samuelu, to ja. Musisz mi pomóc. Poduszkowiec zepsuł mi się w dzielnicy, w której nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby przebywać po zmroku.

- Wezwij pomoc techniczną - wycedził Sheldon wściekły na kolegę.

- Nie mam przy sobie numeru. Przyjedź z łaski swojej. Chyba nie chcesz, żeby zabili mnie z błahszego powodu, niż ten, z jakiego ty byś to zrobił.

- Niech cię wszyscy diabli!!! - kłął Sheldon, gramoląc się z łóżka.

- Co się stało kochanie? - spytała pani Sheldon zdziwiona widokiem męża wychodzącego w środku nocy.
- Kto dzwoni?

- A jak myślisz, Elizabeth?

- Och, nie... Znowu? To już drugi raz w tym tygodniu... Nie jesteś przecież jego niańką.

Wściekły Samuel wyszedł, nie mówiąc ani słowa. Wsiadł do swojego poduszkowca. Szalenie drogiej, ekskluzywnej i ekstrawaganckiej limuzyny. Wzniósł się szybko w powietrze, zataczając koło nad willą Sheldonów: architektonicznym cudem, pokrytym prywatną kopułą. Budynek miał też własne systemy: powietrzny, świetlny i utrzymujący stałą wilgotność. Nie snobizm jednak dyktował takie rozwiązanie, a

konieczność: syn Sheldonów był alergikiem. Błękitny pojazd, przypominający statek kosmiczny, błyskawicznie znalazł się nad zakazaną dzielnicą.

Sheldon nastawił komputer pokładowy na częstotliwość, na której nadawał oczekujący pomocy kolega. Pstryk. Bezbłędna i szybka lokalizacja. Cacko Sheldona wylądowało bezszelestnie tuż obok unieruchomionego poduszkowca, maszyny bardziej przypominającej starożytne pojazdy napędzane ropą niż statek powietrzny zasilany bateriami wodorowymi.

- Co stało się tym razem? - spytał oschle.

- Nie mam pojęcia.

- Wsiadaj... Odwiozę cię do domu.



- Mam zostawić poduszkowiec?

- Ten wrak nazywasz poduszkowcem?... Eh... Zaraz zadzwonię po pomoc i odholują go - mówiąc te słowa, wykonał telefon.

Lecieli w milczeniu. Tuż przed domem Samuel powiedział z naciskiem:

- To musi się skończyć, Frederiku.

- Chyba nie myślisz, że robię to celowo! Samuel nic nie odpowiedział. Wylądowali w kanale parkowym wieżowca, w którym Ferrel wynajmował niewielkie mieszkanie.

- Dziękuję za pomoc.

- Mam nadzieję, że to był ostatni raz... Tylko nie zapomnij o raporcie, który masz na jutro przygotować. To będzie wielki dzień fizyki.

- To będzie twój wielki dzień, Samuelu... Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za rok odbierzesz Nobla.

- Liczyłem na niego dwa lata temu, gdy odkryliśmy naszą drobinę: bozon Sheldona... No, ale teraz starzy pierdziele z Akademii będą musieli uznać moją wielkość!

Po powrocie do domu Samuel zajrzał do syna. Chłopiec spał jak zabity. Następnie położył się do łóżka.

Holograficzna iluminacja dnia imitująca fiołkowy świt bengalski zbudziła zmęczonego nocną eskapadą Sheldona. Zszedł na dół do kuchni. Liz już wstała. Krzątała się, przygotowując śniadanie.

- Erwin jeszcze nie wstał? - zapytał żonę.

- Jest w łazience.

W tej właśnie chwili do kuchni wkroczył dziewięcioletni chłopiec. Jego włosy były tak czarne, że aż wpadały w cień granatu. Oczy natomiast nienaturalnie błękitne. Wiele osób podejrzewało, iż Sheldonowie każą nosić chłopcu szkła. Wszystko to prawie nierealnie kontrastowało ze śnieżnobiałą skórą Erwina. I zapachem pomarańczy.

- Dzień dobry, Erwinie - powitał go przymilnym tonem Samuel.

- Witaj, ojciec - chłodno odparło dziecko.

- Czego się napijesz, Erwinku? - spytała Liz, krzywiąc twarz w sztucznym uśmiechu..

- Soku pomarańczowego.

- Niestety, kochanie... Hmm... Kucharka zapomniała wczoraj kupić... Nie gniewaj się - tłumaczyła się kobieta, prz gryzając wargi.

- Pięć punktów - odpowiedziały zawzięte dziewięcioletnie usta.

- Aż pięć! To niesprawiedliwe! - załkała Liz.

- Dziesięć - Erwin dodał nieubłaganym tonem. Liz zamilkła z wyrazem rozpaczy na twarzy.

- Dziesięć punktów za brak soku to chyba przesada synku... - nieśmiało zaczął Sheldon.

- Pięć punktów - usłyszał w odpowiedzi i przygnębiony patrzył w wycelowany w siebie dziecięcy palec. To razem dwadzieścia - pomyślał w panice. Po śniadaniu odwiózł Erwina do szkoły, a sam udał się do pracy.

Jego luksusowa limuzyna zatoczyła koło ponad gmachem instytutu, który niezmiennie cudownie odbijał światło para-słoneczne. Jak dobrze, że pewne rzeczy się nie zmieniają - pomyślał Sheldon, lądując na parkingu dla pracowników naukowych. W jego zakładzie trwały przygotowania do konferencji naukowej, na której miał wygłosić odczyt. Opracowanie szczegółów zlecił swojemu roztargnionemu, chociaż zdolnemu asystentowi, Frederikowi Ferrelowi. Konferencja dotyczyła ostatniej książki Sheldona, pozycji, która przyniosła mu wielką sławę. Wyłożył w niej teorię możliwości otwarcia kanału czasoprzestrzennego pomiędzy równoległymi wszechświatami. Takie przejście mogło mieć miejsce, według Sheldona, jedynie wówczas, gdy nastąpiłoby zaburzenie dotychczasowej struktury materii. Ścisłej mówiąc, jeżeliby wyodrębniono kondensanty energetyczne z cząstek elementarnych. Tworzywem całej materii we wszechświecie są kondensanty - głosił Sheldon. Zmiana kodu kondensacji dla danego wszechświata mogłaby spowodować jego totalne unicestwienie lub - przy odrobinie szczęścia - tylko zaburzyć kontinuum czasoprzestrzenne przez wtargnięcie do tego uniwersum inaczej kodowanej materii. Teza, chociaż kontrowersyjna, była piekielnie błyskotliwa. Sheldon znalazł dla niej poparcie nie tylko wśród czytelników, ale i filozofów, a nawet wielu fizyków teoretycznych. Fizycy doświadczalni natomiast całkowicie odrzucali jego teorię. Nikomu dotychczas nie udało się zaobserwować kondensantów. Ostatnią, najmniejszą, odkrytą cząstką był bozon Sheldona. Jedynie pewien mało znany fizyk doświadczalny w pełni popierał tezę kondensantów. Nie miało to jednak znaczenia, był bowiem asystentem Sheldona i z jego zdaniem nie liczono się w środowisku. Tym fizykiem był Frederik Ferrel...

- Do boju! - westchnął Sheldon i wszedł do sali konferencyjnej...

* * *

Podczas gdy mąż przekonywał bandę empirystów-sceptyków do swej rewolucyjnej teorii, Elizabeth Sheldon gorączkowo przeszukiwała dom. Przecież nie wyparował - myślała. - Może Erwin zabiera to ze sobą do szkoły? Wzięła głęboki oddech...

- Robię to dla nas... Dla ciebie Samuelu... - szeptała, aby dodać sobie odwagi.

Drżąc ze strachu, zbliżała się do pokoju syna. Każdy stopień wydawał się jej niezmiernie wysoki - jak gotycka katedra. Poszczególne, dzielące ją od drzwi sekunda włókła się niczym wieczność. Przed drzwiami zawahała się... Po chwili wyciągnęła rękę i nacisnęła klamkę

Weszła do środka.. : To był najpiękniejszy pokój w domu. Pokój jedynaka, który miał wszystko, co tylko zachciał. Na środku stała luneta, przez którą malec obserwował gwiazdy, na półkach - niezliczona ilość drogiej zabawek. Liz podeszła do biurka. Pomimo paraliżującego strachu otworzyła szufladę. Wewnątrz leżały trody wraz z zestawem bioczynnym: urządzeniem umożliwiającym bezpośrednie wejście w cyberprzestrzeń. Pięknie wykonany chromowo lśniący sprzęg. Zamknęła szufladę. Zabrała się do przeszukania szafy. Nic. Również pod łóżkiem ani w żadnym innym miejscu nie natknęła się na to. Niestety, nie udało się...

Zeszła na dół. Zapaliła papierosa i odwróciła się twarzą do okna. Patrzyła na piękny, zielony ogród przeszukany w zeszłym tygodniu. Chyba nie nosi tego cały czas przy sobie? - zastanawiała się. Usłyszała chrzęst klucza w zamku. Włosy na jej ciele zjeżyły się. Serce zaczęło wybijać szalone staccato. Bała się... W panice wywoływała w pamięci obrazy pokoju, usiłując sobie przypomnieć, czy wszystko zostawiła w należyтым porządku. Stał w drzwiach. Po jego minie poznała, że jest wściekły. Błękitne oczy przebiły ją na wylot. Niczym laser.

- Cześć, synku. Czy coś jest nie tak? Wcześniej wróciłeś - zapytała drżącym, zmienionym głosem.

- Złamałeś zakaz - powiedział lodowatym tonem jej syn.

- Nieprawda... Nie wiem, o czym mówisz - zająknęła się.

- Byłaś w moim pokoju.

- Nie, kochanie. Pamiętam, że nie życzyś sobie, żeby tam wchodzić.- Jej głos ze strachu stał się piskliwy.

- Kłamiesz! - krzyknął. Liz potrząsnęła bezradnie głową.

- Dwadzieścia punktów i nie waż się więcej grzebać w moich rzeczach! - podsumował.

- Ty mały potworze! Oddaj nam to! - krzyknęła doprowadzona do ostateczności.

- To należy do mnie. Do nikogo innego - spokojnie wysylabizował Erwin, po czym udał się do siebie na górę.

W kuchni pozostała zdruzgotana ze strachu i wściekłości Liz.

- Dwadzieścia punktów... Jestem zgubiona... To razem trzydzieści... O Boże! Może zapomni, że przekroczyłam limit w tym miesiącu? - Zrozpaczona, zapaliła kolejnego papierosa.

* * *

Po konferencji Sheldon poprosił Frederika na krótką rozmowę.

- Jest mi nadzwyczaj przykro, ale nie wiem, czy przejdiesz przez kolejną weryfikację... Musisz bardziej się starać. - Samuel usiłował mówić spokojnie.

- Tobie jest przykro, przekłety obtudniku?!? A kto nas w to wszystko wpakował? Może ja?

- Zgodziłeś się na taki układ. Nie zapominaj o tym, że dostałeś to, o czym marzyłeś od lat... Własne ciało... zdrowe ciało... - wycedził Sheldon.

- Ty zyskałeś znacznie więcej. Nie sądzisz? - odparł Ferrel.

- Daj spokój... Liz i tak by od ciebie odeszła.

- Żeby tak cię pokręciło!

- Nie wypowiadaj pochopnych życzeń. - Zmierzył go surowym wzrokiem Sheldon.

- Przepraszam - zgodził się Frederik. Pamiętał doskonale, że już dość wycierpieli przez zachłanne życzenia Sheldona.

- Pomyśl raczej o SI i weryfikacji. Poprę cię, chociaż twoja linia kariery przypomina poziomą. Na dzisiaj dosyć - zakończył Samuel. - Proszę jutro o raport z konferencji.

- Masz od tego komputer - obruszył się Ferrel. Sheldon odpowiedział mu ironicznym uśmiechem i wyszedł z biura.

* * *

- Przekroczyłeś limit w tym miesiącu - niespodziewanie powiedział Erwin podczas obiadu. - To twój ostatni posiłek. Trzy dni.

- Nie, błagam - rozpląkała się Liz.
- Trzy dni to długo, Erwinie... - próbował załagodzić sytuację Samuel.
- To twoja wina! Kazalesz jej grzebać w moich rzeczach! Dostajesz pięć punktów, więc uważaj, bo limit się kurczy.

Erwin wstał i skinieniem głowy przywołał do siebie Liz. Wstała, ociągając się i płacząc.

- Może dwa dni? - spytała nieśmiało.

- Nie! - wrzasnął rozwścieczony dzieciak. - A jak będziesz się ociągać to zamknę cię na pięć dni.

Liz zakryła rękoma twarz.

- Stań przy ścianie - rozkazał Erwin. Liz wykonała polecenie syna i zamknęła oczy.

Wówczas chłopiec otworzył gwałtownie pięść na wysokości jej klatki piersiowej i pchnął ją w kierunku ściany, która rozstała się i następnie pochłonęła krzyczącą Elizabeth niczym wąż, kurcząc się wokół jej ciała. Po chwili powierzchnia zablizniła się, a gładź wyglądała tak, jak gdyby nic się nie stało.

- Trzy dni - wydał dyspozycje ścianie Erwin.

- Czy ty nie masz żadnych uczuć? - z rezygnacją w głosie zapytał Samuel.

Erwin odpowiedział wzruszeniem ramion. Po chwili znikł w swoim królestwie.

Samuel został sam w kuchni swej luksusowej willi. Liz była uwięziona na trzy dni, co napawało go przerażeniem, gdyż ostatniego takiego przymusowego odosobnienia omal nie przypłaciła życiem. Wsparł ciężką głowę na rękach, czując brzemień winy. Gdybym tylko mógł cofnąć czas... - zamruczał pod nosem. Lecz nie mógł zrobić zupełnie nic. KAPSUŁA MARZEN zginęła. Natomiast Erwin był w tym świecie bogiem. Znał każdy ich krok, dlatego tak bardzo zależeli od niego i jego humorów. Dosłownie w każdej nanosekundzie mógł ich strasznie ukarać. Ba, nawet zabić bez zbędnych wyjaśnień. Ot tak. Po prostu. Ogień z nieba. Deszcz meteorytów. Zawał serca. Bez różnicy. Po prostu. Był wszechmocny. Bóg. Gdyby dało się to przewidzieć, Sheldon nigdy, przenigdy, nie poprosiłby o pomoc. Pozostałby tym samym mało zdolnym fizykiem, który może poszukałby szczęścia na orbitach, próbowałby zapomnieć o Liz. Ale Samuel był ambitny.

W momencie gdy zrozumiał, że kapsuła spełnia jego życzenia, zażądał, aby SI zweryfikowała go pozytywnie. Tak się stało! Wtedy już wiedział, że to o wiele za mało! Pragnął zająć miejsce Ferrela! Pragnął Liz! Frederik natychmiast zgodził się na wszystko, byle tylko móc znów chodzić. Dzięki kapsule zmieniło się wszystko! Cała zaszara rzeczywistość! Przez chwilę Sheldon czuł się panem stworzenia... I właśnie wtedy, zupełnie niespodziewanie pojawił się Erwin. Początkowo był miłym chłopcem, który przybył z innego wszechświata, lecz gdy zamieszkał z nimi, pokazał im kim jest naprawdę... Samuel otrząsnął się z przykrych wspomnień i rozejrzał wokół: mieszkał od czterech lat z Liz w luksusowej dzielnicy... był sławny... ale cena jego powodzenia była tak cholernie niesprawiedliwie wysoka... Wstał i ruszył w kierunku maszyny do kawy, próbując odegnać nieznośne zmory wspomnień. Nalał sobie filiżankę, wysypał cukier i chciał usiąść, gdy złapał go silny skurcz w lewym przedramieniu. Ten cholerny ból zaraz minie... - mocno zacisnął powieki. Gdy tak siedział obolały nad filiżanką parującego płynu, do kuchni niespodziewanie wszedł Erwin.

- Coś ci jest? - zapytał z nieukrywaną satysfakcją.

- To tylko skurcz. Zaraz minie.

- Mam nadzieję.

- Chyba to nie twoja sprawa?

- Ależ skądże... - to mówiąc, Erwin nalał sobie wielką szklanicę soku pomarańczowego - ulubionego napoju. Siorbiąc pod nosem spokojnie opuścił kuchnię.

- Przeklęty, złośliwy, wszystkowiedzący bachor... - wściekł się Samuel. - Do tego muszę nazywać tego gnoja synem, żeby nikt niczego nie podejrzewał. Ach do... - zmełł w ustach kolejne przekleństwo.

Po upływie pół godziny bolesny skurcz zelżał, lecz fizyk nadal nie mógł poruszać palcami dłoni. W przedpokoju zabuczał videofon.

- Cześć, mówi Frederik. Mogę rozmawiać z Liz?

- Liz nie ma - odpowiedział Samuel. - Czy mogę jej coś powtórzyć?

- Powiedz jej, że zostawiła u mnie kilka rzeczy. A kiedy wróci?

- Wyjechała, nie będzie jej przez trzy dni - dziwnym tonem powiedział Sheldon. Wydało mu się podejrzane, jakie to rzeczy i kiedy Liz zostawiła u Ferrela?

- Rozumiem - zabrzmiało po drugiej stronie słuchawki.

- Porozmawiamy jutro w pracy - zakończył rozmowę. Odłożył słuchawkę, chcąc uniknąć dalszych tłumaczeń. Erwin mógł go usłyszeć, a wówczas byłby zgubiony. Zrobiło się późno i miał zamiar położyć się spać. Zdarzenia tego dnia wyczerpały jego odporność... Leżąc w łóżku, myślał o Liz. O tym, co ona

teraz czuje i czy przeżyje te koszarne trzy dni. Sama w pustce. Na wspomnienie jej twarzy łyzy cisnęły mu się do oczu. Zapadał w sen przejęty strachem i rozpaczą...

Leniwie otworzył oczy... Przez żaluzje wciskał się do wewnątrz fiołkowy świt. Poczuł cierpienie lewej nogi. Z trudem zwałócił się z łóżka. Gdy próbował stanąć, rozkładając równomiernie ciężar ciała na obu nogach, przeszył go potworny ból. Lewa noga wyraźnie odmawiała mu posłuszeństwa. Pokuśtykał do łazienki. Spojrzał w lustro... i jęknął w przerażeniu: lewą stronę twarzy wykrzywił grymas bezwładu. Wyglądało to jak na wpół spopielona maska trumienna. Spróbował przywrócić twarzy normalny wygląd, jednak nie mógł napiąć mięśni lewego policzka. To sprawka tego małego, gwiazdnego potwora... - pomyślał w panice. - Muszę z tym skończyć, nim mnie zabije.

Z trudem wsiadł do swojego poduszki. Mimo wyraźnej niedyspozycji poleciał do pracy. W korytarzu instytutu spotkał go Frederik.

- Co się z tobą dzieje, Samuelu? - spytał przerażony Ferrel.

- Nie wiem - wymamrotał Sheldon. - Ciało odmawia mi posłuszeństwa.

- Musisz iść do lekarza! Nie wolno ci tego lekceważyć.

- I co mam mu powiedzieć??? Może historię o tym, że mój dziewięcioletni syn jest wrednym kosmitą??? I że to on mnie tak urządził???

- Erwin nie jest kosmitą. Pochodzi z wszechświata równoległego. Tamten wszechświat jest jakby nałożony na nasz. My nie potrafimy go dostrzec, gdyż materia, z jakiej jest zbudowany, jest dla nas nie obserwowalna, stanowiąc jednocześnie odbicie materii naszego wszechświata - spokojnie tłumaczył Ferrel.

- Dziękuję za wykład. Nie wiedziałem - Samuel odparsknął z sarkazmem.

- Oni żyją - ciągnął dalej niezrażony ironią Sheldona Ferrel - jakby w innym wymiarze. Takich wszechświatów alternatywnych może być znacznie więcej. Jak wiesz - zaakcentował - wszystko zależy od kondensatów. To wynika z moich obliczeń. Odkąd przeniosłeś nas do tego świata, próbuję znaleźć rozwiązanie.

- Chcesz tam wrócić? - przerwał mu nagle Samuel.

- Nieszczególnie... Chociaż i mnie Erwin daje się we znaki, ciągle włamując się do mojego komputera i niszcząc dane.

- Niszczy dane! - wybuchnął Sheldon. - Popatrz, co zrobił mnie! A Liz... - Głos uwiązł Samuelowi w gardle.

- Co z nią? - podskoczył Ferrel.

- Zamknął ją. W ścianie.

- Boże... Znowu?

- Pomóż mi się go pozbyć... - Sheldon utkwiał proszący wzrok w Ferrelu.

- Co zamierzasz?

Samuel wykonał gest symbolizujący obcinanie głowy.

- A jeśli... Jeśli wówczas wrócimy do naszego świata?

Sam już nie wiem... Nie mam pojęcia, czy to my przeniesliśmy się do innej rzeczywistości, czy też może zmieniliśmy naszą... W jaki sposób kapsuła dokonuje zmian pozostaje dla mnie tajemnicą... - Samuel zastanowił się przez chwilę - jedno wiem na pewno. Jeśli ja nie skończę z tym gnojem, to on zgnoi nas!

* * *

Po południu profesor Sheldon poczuł się do tego stopnia źle, że współpracownicy wezwali pogotowie. Stracił władzę w obydwu nogach i runął jak długi w swoim gabinecie. Lekarz, który go badał, nie mógł się nadziwić.

- Mówi pan, że stracił czucie w lewej nodze wczoraj wieczorem?

- Tak.

- Niesamowite! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Paraliż z dnia na dzień bez wyraźnej przyczyny. Czy na pewno pan nie upadł podczas paru ostatnich dni?

- Nie.

- Z pewnością nie miał pan również wylewu... - westchnął lekarz. - Nic z tego nie rozumiem... Muszę pana zatrzymać na parę dni na obserwację.

- Ale mój syn, Erwin, nie może zostać sam... - zaczął spieszenie, lecz wpadł na pewien pomysł.

- Nikt się nim nie zaopiekuje? - zainteresował się lekarz.

- Nie. Nie... Sądzę, że mój przyjaciel mógłby to zrobić. Szczerze nie wierzył w to, aby Frederik chciał brać sobie na głowę tego kosmicznego wrzoda. Ale miał nadzieję, że lekarz da wiarę jego słowom, a w tym czasie wrzód umrze z głodu... Jeśli, oczywiście, w szpitalu zatrzymają go dłużej niż przez tydzień. W ostateczności Erwin będzie musiał wcześniej uwolnić Liz... W momencie, gdy zapasy żywności zaczną mu się kończyć... W ten oto sposób, bez większych wyrzutów sumienia, profesor Sheldon pozwolił zatrzymać się w szpitalu na pięć dni.

* * *

Samuel wrócił do domu na wózku. Nie poruszał już obiema rękami. Mówił z wielkim trudem. W ciągu zaledwie trzech dni ze zdrowego mężczyzny zmienił się w inwalidę potrzebującego opieki innych. Lekarze okazali się bezradni wobec jego tajemniczej przypadłości. Liz siedziała przy stole, patrząc w jeden punkt. Martwa laleczka. Obojętna na wszystko co ją otaczało. Wychudzona. Sińce pod oczyma. Jej ciało pokrywały pęcherze powstałe wskutek długotrwałego kontaktu z alergenem. Liz była bowiem uczulona na substancję wchodzącą w skład masy budowlanej, której użyto w ich domu. Gdy Samuel z pomocą Frederika przekroczył próg mieszkania, spojrzała na niego martwym, niewidzącym wzrokiem.

- To skutek szoku. Lekarz twierdzi, że minie kilka dni, nim dojdzie do siebie - Ferrel pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Powiedziałaś lekarzowi co ją spotkało?

- Nie... Oczywiście, że nie... Mówiłem, że jest załamana twoją chorobą.

- Frederiku, dziękuję ci za wszystko - szepnął Samuel.

- Nie ma za co... - uśmiechnął się Ferrel. - Od czego są w końcu przyjaciele...

- I to po tym wszystkim, co ci zrobiłem.

- Daj spokój.

W drzwiach stanął Erwin. Wszyscy, nawet Liz, spojrzeli na niego. Uśmiechał się.

- Ty mała, wredna kreaturo! - krzyknął Samuel.

- Nie prowokuj go - uspokajał Sheldona Frederik.

- Pięć punktów - rzucił od niechcenia chłopiec. Otworzył lodówkę w poszukiwaniu soku pomarańczowego. Zmarszczył brwi. Nie znalazł go.

- Nie ma soku - powiedział spokojnie.

- Zaraz przywiozę ci sok. Tylko nic im nie rób, dobrze? - zaproponował Frederik.

- Zgoda. Tylko się pośpiesz!

Frederik wybiegł przed dom i odleciał poduszkowcem gospodarza. Za dziesięć minut był z powrotem.

- Na wszelki wypadek kupiłem więcej - mówił, stawiając kartony z sokiem na blacie kuchennego stołu.

Erwin, otrzymawszy swój sok, zostawił ich samych.

- Mam pewien plan... - szepnął Ferrel.

- Ciiiiii! - Samuel przerażony przyłożył rękę do ust.

- Powiem ci jutro w pracy.

- Dobrze.

- Przyjadę po ciebie rano.

Liz wcześniej położyła się spać. Ze względu na stan Samuela, ich sypialnię przeniesiono do holu gościnnego na dole willi. Frederik wydał odpowiednie dyspozycje pomocy domowej. Samuel siedział w ciemności w swoim wózku obok łóżka, w którym spała Liz. Oddychała ciężko. Co jakiś czas jej ciałem wstrząsały drgawki. To wszystko moja wina - myślał posepnie. - Dzięki kapsule osiągnąłem sławę... Teraz przez moją boginię - obsesję - siedzę unieruchomiony w wózku... O ironio... - zaśmiał się w duchu. - Paradoksalnie to Frederik zyskał najwięcej na tej zamianie... Lecz i jemu Erwin zatruwał życie... Zmuszał jego i Liz do spędzania wspólnych nocy - Sheldon zacisnął zęby - żeby upokorzyć mnie i Liz... Rozgrzebać gojące się rany Frederika... Jak dziewięćolatek może być tak perfidny?

Halogenowa lampka stojąca na nocnym stoliku oświetlała zboląłą twarz Sheldona.

Pstryk! Osaczyła go gęsta jak smoła ciemność. Jedyna lampka rozświetlająca pokój zgasła jak zdmuchnięta świeca. Z pola widzenia Sheldona znikła nawet zasilana wodorem podświetlana tarcza ściennego zegara SONY. Tak, jakby ktoś przerwał zasilanie.

Zgrzyt... zgrzyt... zgrzyt... Dźwięk dochodził z przedpokoju. Ktoś zgrzytał jakby metalem po szkłe... Kroki drobnych dziecięcych stóp... To Erwin - pomyślał Samuel. - Co on knuje? Bezszelstnie podjechał do drzwi. Wózkiem kierował za pomocą myśli. Zamontowano mu również chwytники umożliwiające przesuwanie i podnoszenie przedmiotów. Spojrzał przez szparę. W przedpokoju nikogo nie było. Jednym z elektronicznych ramion wózka delikatnie popchnął drzwi. Wyjechał z gościnnego. Przedpokój wypełniał

półmrok rozjaśniany błyskami światła dochodzącymi z kuchni. Ruszył w tamtą stronę. Okno kuchni wychodziło na basen oświetlony lampami ogrodowymi. Stąd to światło... - Sheldon zdziwił się, że nie pamięta planu własnego domu. Sięgnął do kontaktu. Pstryk. Prąd nie popłynął. Awaria we wspólnocie energetycznej? - pomyślał przez chwilę. - Hm... Nie... niemożliwe... Ktoś musiał rozwalić agregaty wodorowe...

Zgrzyt... zgrzyt... usłyszał przed domem ten niepokojący, rwany dźwięk. Sheldon podjechał do kuchennego okna. W basenie coś pływało. Jakiś duży, ciemny przedmiot. Wychylił się maksymalnie. Ale czerń nocy na tyle spowila ogród, że niemożliwe stało się sprawdzenie co to właściwie jest. Usłyszał dziwny szmer. Tuż za swoimi plecami. Powoli odwrócił się w stronę zaciemnionej części kuchni. Erwin stał tuż za nim. Błękitne oczy jarzyły się w ciemności niezdrowym zapałem. W rękach trzymał ogrodowy sekator. Samuel rzucił się do ucieczki, myślami popędzając kółka wózka. Wyjechał do przedpokoju. Dopadł do drzwi wejściowych, które pod wpływem fotokomórki reagującej na zapach domownika powinny rozsunać się bezszelestnie. Drzwi były jak zamurowane. Erwin stanął obok niego. Kwiczał przeraźliwie, dusząc się spazmami swego dzikiego śmiechu.

- Nie uciekniesz! Heheh... Tatusiu... Hiiheehiih... Dzieciak próbował chwycić go za rękę. Samuel bronił się rozpaczliwie, odpychając intruza za pomocą chwytników. Erwin był zwinny i jak na swój wiek bardzo silny. Nie na tyle jednak, żeby przedrzeć się przez śmigające w powietrzu ramiona chwytaków. Moment zawahania Erwina Samuel wykorzystał, aby podjechać do videofonu. Błysk skanera. Cisza. Zero wizji. Erwin rozwalił również system łączności.

- Ty diabelski bękarcie! - ryknął zrezygnowany Sheldon. - Wynoś się skąd przyszedłeś! - dodał i opadł w głąb wózka. Był zbyt wyczerpany stresem, chorobą i strachem, żeby zrobić cokolwiek więcej.

Erwin zbliżył się do niego z niewinną miną. Ujął jego rękę i popatrzył mu prosto w oczy. Uśmiechnął się. Sekator błysnął tuż przed twarzą Samuela.

- Niiieeee!!! - po chwili Sheldon zawył z bólu. Trysnęła krew.

Palce... Skurwiel uciął mi palce - Sheldon w odrętwieniu przyglądał się strugom krwi wijącym się po ścianie niczym kobry. Jakby nie do końca dotarła do niego okropna prawda, iż to jego krew... Spojrzał w dół... Skrawki palców leżały rozrzucone wokół wózka. - O Bo... - Zamknęła się nad nim lodowata noc...

* * *

...Ocknął się na trawniku przed domem. Jego wózek niczym monstrualny chrapaszcz przygniatał go ciężarem. Spojrzał na swe ubranie znaczone brunatnymi strugami. Wykrwawiał się... Podnieś mnie, proszę... Podnieś mnie... - wydawał w myślach rozpaczliwe komendy wózkowi, który po kilku próbach błysnął pomarańczowym światłem sensorów ruchu. Videokamera rozjarzyła się na niebiesko. Wózek troskliwie podniósł Sheldona i wepchnął na siedzenie. Zahuczały baterie akumulatora i Sheldon jechał w stronę domu. Do łazienki - zdążył pomyśleć. Strumienie neuronów w nanosekundę zostały przetworzone .w odpowiednie kody dostępu. Maszyna posłusznie skierowała się do zachodniej części willi. Kiedy leżał nieprzytomny komputer uaktywnił baterie rezerwowe. Dobrze, że o tym pomyślałem - Sheldon pocieszył się swoim małym zwycięstwem. - Ten mały drań nie miał dostępu do alternatywnego hosta... Mam światło i energię... Uśmiechając się w duchu, odszukał apteczkę i nakazał chwytnikom wyjąć bandaże i zatamować krwawienie. Psss... samoprzylepny, w pełni sterylny bandaż owinał się na kikucie. Poczłł nieprzyjemne ukłucie. Nano-surowica antybakteryjna rozpoczęła genowy taniec w jego krwi. Dopiero po chwili Samuel przyjrzał się okaleczonej ręce. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Kiedy cząstki nano uśmierzyły ból, dotarło do niego, że słyszy szum wody. Kabina prysznicowa była zamknięta. Przez zaparowane szkło zobaczył siedzącą pod prysznicem postać. Erwin - pomyślał z przerażeniem. Postać pod prysznicem nie ruszała się. Wyciągnął chwytak i otworzył kabinę. Zgrzyt... zgrzyt... upiorny jęk dochodził z dołu... Z holu. Rozsunął szklane drzwiczki. Woda zalewała jej siną twarz. Pieniąc się wściekle, wymywała krew z rany na szyi... Fantastyczne esy-floresy na podłodze kabiny... Gorąca woda... - tylko tyle zdołał pomyśleć w tej chwili - dlatego krew nie krzepnie... Siedział odrętwiały, patrząc na Liz, opartą o ściankę kabiny, dziwnie bezbronną, martwą. Było mu już wszystko jedno. Teraz to popieprzone, karłowate i zwyrodniałe monstrum mogło go zabić. Odebrał mu wszystko. Zdrowie... Liz... Wolność... Radość...

Samuel pojechał do kuchni. Nie czuł już strachu. Twarda, mikroporowa stal noża przyjemnie podrażniła mu jedyną dłoń. Sheldon spokojnie rozejrzał się wokół.

- Gdzie jesteś, mały skurwielu!?!?

Trupi chrzęst dobiegł z zewnątrz. Erwin ciągnął sekator to po betonie, to drapał nim okienne szyby. Samuel wyjechał do ogrodu. Ostry błysk światła. Lampy rozmieszczone wokół basenu jarzyły się halogenami żółci. Ruszył w tamtą stronę. Przypomnił sobie, że widział coś dużego pływającego w basenie.

Wózek zachrobotał o ceramiczne kafle wyłożone wokół basenu. Sheldon już wiedział co się stało. Na skraju zbiornika leżały mokre zwłoki mężczyzny. Frederik.

- On miał plan... - jęknął Samuel. - Miał mi pomóc pozbyć się tego diabelskiego nasienia... Jego też zabił... - Pochylił się nad ciałem przyjaciela. Ogarnęło go z wątpienie. Jak można walczyć z kimś tak potężnym jak Erwin? Przecież on jest tutaj bogiem - pomyślał z rezygnacją.

Potworny śmiech chłopca przeciął śmiertelną ciszę. Dochodził z krzaków rosnących wokół małego patio. Sheldon ruszył w kierunku garażu, wyciskając ze swojego wózka maksymalną prędkość. Zahamował przy luku poduszkiowca. Finito - jęknął. Erwin już tam był. Stał za pojazdem, śmiejąc się szaleńczo. Sekator wykonywał obłądny taniec w jego małych rączkach. Sheldon wstrząśnięty przyglądał się tej dziecięcej wersji *dance macabre*, kiedy drzwi limuzyny otworzyły się bez jakiegokolwiek udziału Samuela. Błysnęło fioletowe światło. Automatyczny system obronny poduszkiowca zadziałał ni stąd, ni zowąd. Wiązka mikrowoltów z szybkością błyskawicy przemknęła przez neurony Erwina. Uśmiech zastępnął na jego twarzy niczym potworna maska. Wygląda jak szmaciana wersja zombie - przemknęło przez myśl Sheldonowi.

- *Wsiadaj!* - kobiecym głosem komputer pokładowy zmusił Sheldona do działania.

Drzwi zatrzasnęły się i limuzyna uniosła się wysoko ponad willą Sheldonów. Pod samo sklepienie prywatnej kopuły. Właz rozsunał się i Samuel opuścił swój dom. Był bezpieczny. Dziwiło go jedno. Jak komputer pokładowy zdołał zareagować niczym żywa istota? I ten głos... Przecież jego komputer mówił męskim głosem - rozmyślając, dostrzegł na siedzeniu obok niewielki, lśniący przedmiot. Kapsuła! Nareszcie! - ucieszył się.

- Odwołuję wszystkie moje życzenia! Chcę wrócić z powrotem do mojego świata! Chcę pracować na orbitach! Tylko zwróć życie Liz i Frederikowi! A mnie ciało jakie kiedyś miałem! - krzyczał jak oszalały.

Prośba została wysłuchana. Świat wokół niego zawirował. Miał wrażenie upadku w bezdenny, rozdygotany pyłem gwiazd lej. Rozbłyły niebieskie chryzantemy oślepiającego światła. Sheldon stracił świadomość.

* * *

O Jezuuuu... Jestem cyborgiem - pomyślał, ujrzawszy swoje ciało przykute do superwózka, z którym tworzyli idealną całość. Jak niegdyś Ferrel. Trody jak koraliki rasta kołysały się na szyi. Byłem w sieci - stwierdził po chwili.

- *Masz wiadomość* - zabręczał komputer. Odebrał ją: *Przyjeżdżam do Ciebie dzisiaj po południu. Czekaj na mnie w domu. Całuj. Adely.*

- Kto to u diabła jest? - westchnął przeciągle. - Jaka znów Adely?

Dzień był piękny i słoneczny. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Wyrzwał przez okno. Nigdzie ani śladu zwłok. Brak zacieków krwi na ścianach. Dopiero teraz spostrzegł, że ma wszystkie palce. Powoli wyjechał z willi. Basen przed domem lśnił szafirem czystej wody. Światelka kamer i videofonów wesoło sygnalizowały gotowość wewnętrznego systemu operacyjnego. Powrócił do willi i rozpoczął systematyczne przeszukiwanie. Wydawało mu się, że topografia pomieszczeń jest inna niż... Właśnie... Kiedy? Wczoraj?... Nigdy?... Za wyjątkiem kilku kosmetyków w łazience nie znalazł żadnych rzeczy należących do Liz. Nie było również rzeczy Erwina. Odetchnął z ulgą... Nie było też jego samego - pokój dziecienny był pusty i wyglądał na nigdy nie zamieszkały. Sekretarka wyświetliła listę kilku wiadomości. Powodowany odruchem odsłuchał je: lekarz o nazwisku Meier zapowiadał swoją wizytę; tajemnicza Adely pozdrowiała go karcąc jednocześnie za to, że nie odbiera telefonów: *Dzwonię do Ciebie od tygodnia!* - utyskiwał dźwięczny, kobiecy głos.

- Ten głos już gdzieś słyszałem... - Samuel mruknął do siebie i zaczął odsłuchiwać kolejną wiadomość. Był to przekaz od adwokata Liz, który swoim nauczonym, prawniczym głosem stanowczo domagał się podpisania dokumentów rozwodowych, gdyż w przeciwnym razie *...zostanie Pan narażony na niezwykle wysokie koszty Panie Sheldon. Jak Pan doskonale wie, paragraf trzynasty, punkt piąty Wspólnoty Adwokackiej stanowi, że w przy...* Sheldon wyłączył odsłuch. Dzięki wszystkim dobrym duchom gwiazd! - odetchnął z ulgą - Liz żyje! Ale... Zaraz... Dlaczego chce się ze mną rozwieść? Czyżby to dalszy ciąg kary, jaką zadał mu Erwin? - zasepił się. - A może kapsuła błędnie spełniła jego życzenie i przeniosła go do niewłaściwego wszechświata? Ciekawe... Warte rozważenia, ale... Ale jeśli żyję ja i Liz, to Frederik z pewnością nie został zamordowany. Stwierdziwszy ten fakt, Sheldon szybko wybrał numer neurozłącza Stephena. Bylebyś nie zapomniał o wszczęciu wizualizacyjnym przesiąknięty empirią, baranie... - Ledwie zdążył pomodlić się w duchu, już widział w swoim holo szczerze uśmiechniętą twarz Stephena.

- Witam, Profesorze! W końcu Pan do nas wraca?

- Stephen, czy wiesz co dzieje się z Ferrelem?

- Znaczy się z... Frederikiem?
- Nie. Z cieniem Montezumy! - warknął Sheldon.
- Przepraszam, ale wie Pan, Panie Profesorze. Zawsze Pan mówi o wiarygodnym dokumentowaniu tez, więc... - widząc rozwścieczony wyraz twarzy Samuela, Stephen Sartr-Bridge szybko zmienił temat: - No przecież od dwóch miesięcy pracuje na stacji Nous... - nagle urwał. - Nie wiedziałem, że Pan nie wie, Panie Profesorze... Nnoo bboo...
- Co do cholery!?!?!? - wrzasnął doprowadzony do stanu w rżenia Sheldon.
- No... - asystent przełknął ślinę - bo Pani Sheldon też tam jest - zakończył jak tylko mógł najszybciej Stephen Sartr-Mridge i zamknął oczy, modląc się o to, aby atak wściekłości wielkiego Sheldona nie skupił się na nim. Ujrawszy twarz Samuela, zrozumiał, że chyba pora wyemigrować na orbity.
A więc jednak do niego wróciła... - wzrok Sheldona błędził po rzeźbionej motywami smoków hebanowej poręczy jego więzienia. - Co to za kapsuła?... Jakich marzeń?... W końcu to on teraz ma wszystko... Pracę... Zdrowie... Liz... A ja? Myślałem, że jestem sprytny... że wykiwałem starego drania... Usłyszał sygnał komputera meldującego, że ktoś prosi o otwarcie kopuły.
Zidentyfikuj obiekt - sensory chwytaka wpisały odpowiednią komendę.
Monitor rozbłysnął kaskadą liczb. Po chwili pojawił się wynik: *poduszkowiec: ESS Kod 001; potencjalna szkodliwość dla mikroklimatu willi: żadna; właściciel: SHELDON ADELY; użytkownik: Adely Sheldon.*
To może być podstęp Erwina - pomyślał.
Priorytet Pierwszy - Dane dodatkowe - poprosił Sheldon.
Wiedział, że w przypadku Priorytetu Pierwszego jego gość - jeśli jest niegroźny i zależy mu tylko na odwiedzinach - udostępni dostęp do swego hosta PRV. Tym samym Sheldon będzie o nim wiedział wszystko. No... prawie wszystko. Klik. Monitor błysnął ponownie i Samuel zobaczył wynik odczytu kodu DNA. Na czerwono jarzył się napis: *stopień pokrewieństwa: siostra.*
Mam siostrę? - to było coś zupełnie nieoczekiwanego. Machinalnie włączył wizję, żeby ją zobaczyć.
- Nareszcie, Samuelu, wpuść mnie - odezwała się kobieta.
- Kim jesteś, do cholery? Po co przyjechałaś? Kto cię przysłał?
- Nie bój się. Wiem, że możesz mnie nie pamiętać, ale proszę wpuść mnie... Musimy - położyła nacisk na wymawiane słowo - porozmawiać.
Samuel wyłączył monitor. Czyżby Erwin zapanował nad moją wyobraźnią? - ta myśl jak błyskawica przeszła mu mózg.
- Hmm... nawet jeżeli ta wesz - Sheldon zamruczał do siebie - steruje moim światem i moimi zmysłami, to właściwie cóż mi jeszcze może zrobić? Zabić? Hehehe... Ja właściwie już umarłem...
Podał kod dostępu i wpuścił niespodziewanego gościa. Usłyszał charakterystyczny szum silników wyhamowujących i po paru chwilach stanęła przed nim tęga kobieta około czterdziestki. Nieco podobna do Erwina: ten sam sposób poruszania się. Koci chód. Prawie niedostrzegalny błysk błękitnych oczu. Zapach pomarańczy. Aromat tak mu bliski i tak przezeń znienawidzony. Odrobinę go to zaniepokoiło.
- Wiem o czym myślisz... - uprzedziła jego pytanie. - To czyni ich czyn jeszcze bardziej ohydny. Wiem, że Erwin był do mnie podobny. Widziałam go w twoich projektach.
Samuel obserwował ją bez słowa. Kobieta bezradnie rozłożyła ręce.
- To ja, Samuelu. Adely. Nikt inny. - Z pewnością już wiesz - Adely podeszła bliżej - że ona jest z nim na stacji Nous.
- Skąd to wiesz?
- Pamiętasz wir, Samuelu?
Fragmenty wspomnień napłynęły z wolna. Niejasne kontury ogrodu... Labirynt pomarańczowych drzewek... Wir... Chłopięcy pomysł na wszechświat: zabawa w chowanego. Tajemnica i jej odkrywanie... Adely chowała się to tu, to tam, stawiając tańczące fantomy - Sheldon uśmiechnął się do siebie: Kosztowały naszych starych naprawdę kupę forsy... ale rzeczywiście byliśmy z Adely niezwykłymi dziećmi... - a Samuel odgadywał, która z tych wirujących postaci jest prawdziwą... Wtedy to tak naprawdę postanowił zostać wybitnym fizykiem... Człowiekiem, który rozpozna istotę wirów...
- Adely - wybuchnął płaczem - Jak... Nie pamiętałem...
Przytuliła go tak jak dawniej.
- To przez Liz, Samuelu...
- Kim jest Liz?... Kim jestem ja?...

- Liz... teraz już wiem, iż mogę ci o niej powiedzieć wszystko... Nigdy za nią nie przepadałam, ale byłeś taki szczęśliwy kiedy oświadczyłeś, że jesteście razem... Kompletnie nie docierało do ciebie to, że poślubiła cię jedynie, by zyskać karierę i pieniądze.

- Nie... - zaproponował Sheldon - dlatego wyszła za Frederika. Byliśmy razem ponieważ mnie kochała. Byliśmy najwspanialszymi kochankami.

- Biedaku! - Adely spojrzała na niego z czułością. - Byliście małżeństwem! Tylko i wyłącznie dlatego, ponieważ Liz imponowały twoja sława i pieniądze! To Frederik był jej kochankiem... Ta nie rokująca nadziei miernota, którego jedynym atutem był kutas długi jak Las Vegas... - Adely uśmiechnęła się kpiąco. - Pamiętam, jak próbował oczarować mnie tym swoim śmiesznym dodatkiem do kupy mięśni, jaką był - potrzęsnięta głową. - Nie możesz niestety tego pamiętać... Na razie... Na dodatek był biedny. Ta suka umiała liczyć... Nigdy by za niego nie wyszła... Za to widocznie lubiła Las Vegas... - spojrzała na Samuela. - Nie gniewaj się, ale widziałam, jak się od niej uzależniasz...

Milczał. To, co opowiadała Adely nie mieściło się w jego pojmowaniu świata. To on jest mężem Liz? Ferrel to jakiś żałosny buhaj? Nie rozumiał. Nie chciał zrozumieć. I uwierzyć. Bezradnie spojrzał Adely w oczy.

- W każdym bądź razie - rozpoczęła Adely - została jego kochanką... Chciałam ci o tym powiedzieć wcześniej, ale...

- Mylisz mnie z Ferrelem! - przerwał jej gwałtownie. - To ja byłem kochankiem Liz! Przecież on był geniuszem, przeciwko któremu spiskowałem! Moja linia kariery, Adely... - zaczerpnął powietrza - stanęła w miejscu... A kiedy nadarzyła się okazja... to znaczy, znalazłem kapsułę, przeniosłem nas troje do innego wszechświata! I... co ty tutaj robisz?

- Samuelu... - stanęła naprzeciw niego. - Jesteś moim bratem. Znam cię od dziecka. Uwierz, proszę, że jesteś geniuszem i nikt nie miał tak wznoszącej się linii kariery jak ty! Odkąd pamiętam nie chodziłeś. Mama miała wypadek na orbitach. Wiesz jak tam jest: bród, smród i ubóstwo. Rekombinacja na łapu capu... - oczy jej się zaszklily. - Sam skonstruowałeś ten wózek i ciągle go ulepszałeś. To twój prywatny wir... Informatyczny ciąg i zapis twoich myśli... Jak sądzisz, czy ktoś, kogo kariera stoi pod znakiem zapytania, umiałby coś takiego?

Przypomniał sobie. Szaleńcze jazdy po ogrodzie. Dziecko-torpeda. Mój kochany Pinokio... Wewnątrz Sheldona coś pękło. Jeszcze nie wiedział co to jest. Nie potrafił tego nazwać. Przeczuyał jedno: to coś jest straszne. Ale i satysfakcjonujące... Spojrzał na swoje cudeńko. Wiedział.

- Zauważ, Samuelu, w jaki sposób nim kierujesz - ich wzrok spotkał się w pół słowa. - Jego układ kierowniczy jest przedłużeniem twojego ośrodkowego układu nerwowego...

- Właściwie bez trod mogę łączyć się z siecią... - Sheldon uśmiechnął się do siostry - korzystając z wejść wyprowadzonych z rdzenia kręgowego. Jestem wirum. Kondensantą. Przekraczającym wszechświat...
ILUMINATOREM...

- Tak, Samuelu... - Adely złapała go za rękę. - Zawsze to wymyślałeś i robiłeś. To była twoja ulubiona zabawa. Wir. Odkrywanie innych światów. Złap tajemnicę! - zatańczyła przed nim jak fryga. - Odkryj Adely! Schowaj swój cień! Tworzyłeś światy, w których byłeś sprawny fizycznie. Żyłeś wtedy jak inni. Pamiętasz? Kiedy znudził nas ogród, wkradliśmy się do hosta rodziców. Jeszcze lepsza zabawa. Wir nabierał realności... Nie wiesz o tym, ale ja zakradałam się do twoich projektów. Zazdrościłam ci. Zakładałeś nowe hasła, ale ja je ciągle łamałam - uśmiechnęła się w sposób, który Sheldon uwielbiał, jak chochlik - znałam twój sposób kodowania. Strukturami pustymi. Niedawno zrobiłam to ponownie... Pamiętasz ten komputer mówiący kobiecym głosem?

- Tak... ale pamiętam, że nie zawsze byłem cyborgiem jak Ferrel. Ty zaś mówisz i to też pamiętam - spojrzał na Adely z uwagą - że od dziecka byłem unieruchomiony. Potrafisz mi wytłumaczyć moją schizofrenię?

- Sammy - pogłaskała go po policzku - jeśli ty masz schizofrenię to z koziej dupy można zrobić trąbę grzmiącą, hihhi... - Samuel uwielbiał jej dwudziestowieczne poczucie humoru. - Powiem po prostu, OK? Nie było żadnej kapsuły, ani innego życia... Jest za to banalnie kurewski świat ambicji miernot. Historia brukowa... Był sobie pewien mało zdolny fizyk, który chciał zostać wielkim. Niestety, zrobiony w pośpiechu na jakiejś balanżce, oprócz prostych działań, nie potrafił nic więcej... Ponadto była sobie pewna chciwa kobieta, która pragnęła zostać żoną kogoś sławnego i zamożnego. Traf chciał, iż spotkali się: on i ona. Niezaspokojona ambicja i niezaspokojona chuć. Niestety był jeszcze ktoś: geniusz. Bogaty i sławny. I zbyt dobry... Ona i on wpadli na pomysł wygryzienia tego trzeciego. Wykorzystali twoją skłonność do tworzenia fikcyjnej rzeczywistości w sieci. Na bazie twoich marzeń opracowali wyjątkowo wredną wersję symulaka. Liz podmieniła chip, którego używałeś i zamiast rozmówek hiszpańskich zaaplikowali ci ten

kurewski rozmiękczać mózgu. Otrzymałeś zmiksowane wspomnienia Ferrela. Z całą jego niechęcią do ciebie... Tło stanowiła głupawa historyjka o światach równoległych i kapsule marzeń... To już było wyjątkowo podłe... Wiesz, iż symulaki potrafią rekombinować struktury neuronowe, dlatego zabronili używania tego świństwa... Ale tym skurwysynom - oczy błysnęły jej złowrogim blaskiem - było tego mało! Dorzucili Erwina. Na podstawie moich konstruktów, które wykrał mi Ferrel! To kompletnie rozwaliło ci głowę, braciszku... Byłeś bliski szaleństwa... Doktor Meier i ja walczyliśmy o twój powrót do rzeczywistości, ale część twojej pamięci została wyparta. Liz z Ferrelem zaś walczyli o ubezwłasnowolnienie ciebie... Oczyszczili twoje konto - uspokoiła się trochę - i zmusili cię do podpisania pełnomocnictw dla Frederika, który miał cię zastępować, kiedy ty byłeś w szpitalu.

- Zaczynam rozumieć... Rzeczywistość wirtualna i działanie chipu. Spisek Liz i tego skurwiela... - Sheldon już wiedział czym jest ta straszna rzecz, którą poczuł przed chwilą, i która chce uwolnić się z jego wnętrza. - Zatem nigdy nie byłem młodym, ubogim naukowcem, który miał romans z żoną szefa... A Erwin był tylko koszmarem... neuronową ułudą...

- Tak, właśnie tak. Ale już po wszystkim... Zanihilowaliśmy tego symulaka. Konsultowałam się z adwokatem. Łatwo udowodnimy im działanie na szkodę twojego zdrowia psychicznego.

- A więc to ja byłem zawsze Ferrelem, wielkim Frederikiem Ferrelem - Sheldonowi rozbłyły oczy.

- Nie, braciszku... Ty zawsze byłeś i zawsze będziesz Wielkim Samuelem Sheldonem.

- Zastanawiam się, skąd mieli dostęp do symulaka...

- Twój projekt C i... twoja gra wirtualna. Przypomniał sobie prasowe tytuły: *Wielki Sheldon sprzedaje się Microsoftowi! Fizyk twórca Cyberpacku! Sheldonie, Sheldonie aleś się nam zgeitsi!!!*

I pamięć podpowiedziała mu jeszcze jedno: lubił to. Po prostu. Lubił gry. Chwytnak nalał mu do szklanki soku pomarańczowego.

- Adely? - Tak?

- Jaka to była gra?

- ILUMINATOR, Samuelu.

- ILUMINATOR?

* * *

To było jego ukochane dziecko. Mogli mu zabrać pieniądze... Mogli mu ukraść sławę... Za nic miał tytuły... Ale ILUMINATOR był jego ZREALIZOWANYM MARZENIEM! Tego nie wolno zabierać nigdy i nikomu...

Podjechał do komputera. Znalazł mapę stacji badawczych rozmieszczonych w układzie słonecznym.

Szukaj Nous - wydał komendę.

NOUS; lokalizacja: Orbita Jowisza; cel: stacja badawczo-naukowa III generacji; przeznaczenie...

Znalazł Nous. Litery rozmazały się na ekranie monitora... Sheldon długo wpatrywał się w czarny punkcik na monitorze komputera. Potem uwolnił to coś...

- Niech Bóg ma nad wami litość... - szepnął do siebie - bo ja jej mieć nie będę.

Paulina i Ireneusz Przygodzcy